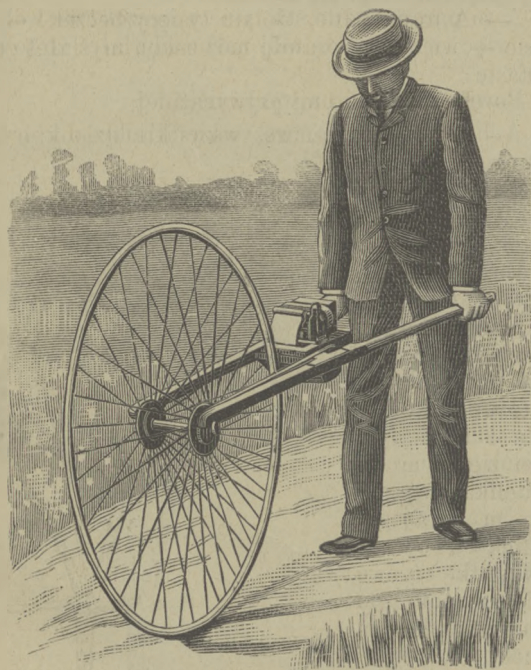




## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### ODOGRAF.

Coraz to nowe wynalazki w każdym kierunku zmieniły do niepoznania stosunki świata w bieżącym stuleciu. Szczególne też uderza postęp w sposobach przenoszenia się z miejsca na miejsce. Szybko mknące statki parowe, zastąpiły powolnie kołyszące się na falach oceanu żaglowe okręty; zamiast wozów i nadmiernie nieraz objuczonych zwierząt, lokomotywy pędząc lotem błyskawicy, znaczą swą drogę dymem i iskrami, przenosząc stokroć prędkiej w odległe strony ludzi i wyroby z jednego kraju. Dawniej lat całych potrzebował człowiek, by odbyć pielgrzymkę w około świata, dziś ośmdziesiąt dni na to wystarcza.

Welocypedy niemało udogodniły bliższe i dalsze wycieczki. Pomimo to wszystko, są jeszcze ludzie zamiłowani w pieszych pielgrzymkach dla oryginalności. Taką niezwykłą pielgrzymkę odbyli niedawno dwaj Anglicy pp. Karol Long i A. Astou, którzy zaopatrzeni tylko w małe podróżne tłomoczki i mocne sękate kije w ciągu 12 miesięcy zwiedzili przeszło całą Europę.

Roku 1890 w dniu 1 maja wyszli oni piechotą z Londynu do Douvru, a przepłynąwszy kanał na parowcu od Calais maszerować znów zaczęli; przeszli wzdłuż Francję, śnieżne Pireneje, oba urocze kraje pirenejskiego półwyspu i brzegami morza Śródziemnego doszli do Tryestu. Następnie minęli Węgry, Kraków i Warszawę, Moskwę i Petersburg, z Rygi okręt przeniósł ich do Szwecji i Norwegii, skąd dostawszy się do środkowej Europy i zwiedzwszy ją, powrócili parowcem z Ostendy przez Douvre do Londynu 30 kwietnia 1891 r. a zatem po całorocznej podróży.

Czy podróż ta połączona była z jakim celem praktycznym lub naukowym, o tem nie dowiedzieliśmy się ze sprawozdań dziennikarskich. W każdym razie żałować należy, że nie posługiwali się w niej niedawno wynalezionym przyrządem, który z zupełną dokładnością byłby obliczył ilość i szybkość zrobionych przez nich kroków.

Rysunek nasz przedstawia właśnie ten bardzo pomysłowo zbudowany przyrząd zwany odografem, umieszczony na jednokołowej podstawie wprawianej w ruch przez człowieka. Każdy obrót koła jest przeniesiony na przyrząd ten korbą, z pomocą której, na wąskim w około cylindra zwiniętym rulonie papieru, mały sztyfcik odznacza drogę odbytą, tak jak to ma miejsce w telegrafie. Szybkość obrotu cylindra i sztyfcika jest odpowiednia do szybkości z jaką się posuwa człowiek prowadzący odograf. Połączenie dwóch ruchów, mianowicie: ruchu taśmy papierowej posuwającej się w jednym kierunku i prostopadłego do niej ruchu sztyfcika, dają nam linią

wyobrażającą przebytą drogę. Przynajmniej cała jest urządzona w ten sposób że papier w miarę potrzeby dłuższego znaczenia posuwa się i wykręca.

Odograf z pewnymi odpowiednimi zmianami służyć może do rozmaitych celów. Naprzykład: do mierzenia szybkości wiatrów, ilości wody w rzekach i t. d., do obliczania uderzeń pulsu, czynności płuc i serca. Na ostatniej wszechświatowej wystawie w Paryżu służył w połączeniu z kołowrotem, do sumiennego bardzo obliczania ilości odwiedzających tę wystawę osób.

A. Z.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)



Grzybienie.

Myśli te tak mnie zajmowały, że ani spostrzegłem jak minąłem ogrody i znalazłem się zdala od dworu, w lesie, na tej samej drodze gdzie kilkanaście dni temu stawiano bramę tryumfalną dla księżnej, a ja szedłem wówczas z woli królewicza, aby ochronić od zagłady drzewo na którym ten człowiek zawiesił ołtarzyk. Przypomniałem sobie, jakim wówczas w tem miejscu spotkał kapitana Tamarixa, jakeśmy na pniu ściętego drzewa czytali jego metrykę, przypatrywali się jego słojom i rozmawiali o komórce.

I co za szczególne zdarzenie! W tem samym miejscu prawie, ujrzałem znowu barczystą postać w marynarskim mundurze, do złudzenia przypominającą kapitana. Nawet ręce były w tył założone co właśnie miał zwyczaj tamten. Gdy mu się przypatrywałem nie wiedząc jeszcze na pewno, czy to on czy nie on, marynarz huknął tak głośno, jak gdyby mówił przez tubę do okrętu odległego co najmniej o dwie mile angielskie.

— Dzień dobry, panie pośle! Cóżto, nie poznaje mnie Jego ekscelencya?

— Poznaję, panie kapitanie—zawołałem biegnąc ku niemu uradowany — ale miałem na razie pewną wątpliwość, bo dziwnem mi się wydało, że po raz drugi już spotykam pana w tem samym miejscu.

— No, jakoś lepiej wyglądamy — mówił kapitan, ściskając mi dłoń serdecznie, i uśmiechając się dodał: — Niech ekscelencya przyjmie moje powinszowanie.

— Prosiłem już pana, żebyś mnie tak nie tytułował — rzekłem — powinszowanie czego?

— Zwycięstwa na turnieju w którym pokonałeś słynnego silacza atlantyjskiego, mego kolegę i przyjaciela, kapitana Ursusa. Gazety atlantyjskie opisały tę walkę z wszelkimi szczegółami.

Czułem że się zaczerwieniłem po uszy.

— Przykro mi bardzo panie kapitanie, jeżeli tak jest — odpowiedziałem — bo tylko wypadkowi, że koń mego przeciwnika potknął się, zawadziwszy o tarczę leżącą na ziemi, zawdzięczałem moje zwycięstwo. Nie czytam gazet atlantyjskich, bo je mało rozumiem, ale jeżeli opisały to zdarzenie inaczej, upatrując w tem moją zasługę, będę musiał napisać sprzostowanie.

Kapitan roześmiał się.

— Niech ekscelencya da sobie pokój — powiedział rubasznie — wszystko było opisane jak potrzeba; nie pominięto i owego poślizgnięcia, mimo to zyskałeś sławę zucha nad zuchami. Widziałem ja już po twojem przemawianiu się z kapitanem Granitem, gdy nasze statki spotkały się na morzu, że masz w żyłach krew a nie wodę; ale takiego rycerskiego animuszu nie przypuszczałem. Ho! ho! gdy stary Papaver zamknie oczy, królewicz Zielonko niezawodnie zamianuje cię głównodowodzącym generałem.

Teraz wiedziałem już że żartował i to mię uspokoiło, a myśl zostania dowódcą armii atlantyjskiej wydała mi się tak zabawną, że śmiałem się także.

— Dokąd to ekscelencya spieszy?—pytał dalej kapitan.

— Idę do chorego cudzoziemca z poleceniem od księżnej Primuli.

— Jakiem? jeżeli wolno wiedzieć.

— Polecenie to bardzo dziwne, i nie wiem doprawdy, jak się cudzoziemiec jako artysta z niego wywiąże. Księżna widziała u królewicza Krysztalka bardzo piękny krucyfiks, przez cudzoziemca rzeźbiony, który tak jej się podobał, że zapragnęła także posiadać jakąkolwiek jego robotę i posyła mnie do niego z prośbą, aby wyrzeźbił dla niej ramki do małego pastelowego portreciku księżniczki Gentiany.

— Dotąd w tem zleceniu nic dziwnego nie widzę.

— Tak, ale rzeźba na ramkach ma wyobrażać trzy dzioby ptasie: żorawi, czapli i bociani. Czy słyszał kto co podobnego? Wyobrażam sobie, jak te trzy długie paszce będą straszły dzieci o zmroku. Przyszanam się panu nawet, że się obawiam aby ten do którego idę, nie wziął mnie za waryata.

Kapitan wziął się za boki.

— A to paradne, do stu tysięcy beczek! — wołał śmiejąc się — więc ty naprawdę mój zuch myślałeś że to są dzioby ptasie?

— Powiedziano mi najwyraźniej.

— Ach, młodzieńcze, wszystkie dzioby o których mówisz, są to rośliny.

— Rośliny?

— Tak, rośliny Bodziszkowate, Geraniaceae.

Obejrzał się dokoła, jakby czegoś upatrując i zerwał nieopodal małą roślinkę o różowej łodyżce i kosmatym, jasno zielonym liściu, delikatnie powycinanym, mającą kwiatek ułożony w gwiazdkę różową, o pięciu zaokrąglonych płatkach, a zawiązek owocowy przedłużał się w długi dziobek, zakończony pięciu gałązkami rozdzielonymi. U dołu słupek miał także pięć owoczków; była to nasienna torebka o pięciu guziczkach.



Geranium robertianum.

— Zowie się więc ta roślina?

— *Geranium robertianum* — odpowiedział — *géranos* po grecku znaczy żoraw,

— Ach, to tak!

— Popatrz na owoc tej rośliny, a zrozumiesz przyczynę jego szczególnego nazwania. Czyż nie wygląda jak długi dziób ptaka?

— Przy dobrej woli patrzącego, wszelkie podobieństwa we wszystkim upatrywać można — odpowiedziałem — ale w owocu tym chyba nic osobliwego niema, prócz kształtu?



Ziarnko owoc,  
Geranium, odry-  
wające się.



Geranium, pięćki  
i słupki.

— Owszem, jest: gdy torebka nasienna dojrzeje, pęknięcie jej odbywa się w sposób bardzo oryginalny: guziczki odrywają się od swojej postawy i wyginają się jak sprężyny, wyrzucając ziarnka daleko.

— A to szczególne!

— Co więcej, źdźbła które zostają przytwierdzone do ziarnka, a raczej szyjki słupkowe, skręcają się, albo się rozkręcają, podług tego czy jest susza, czy wilgoć, i temi poruszeniami sprawiają, że ziarnko zagłębia się w ziemię.

— Nie podejrywałbym o to nigdy, tej niepozornej roślinki.

— Co zaś do dzioba, to ten dłuższy jest jeszcze u rośliny innej, pospolitej na polach naszych, zwaną *Erodium*, a *eródios* znaczy po grecku czapla, posiadającej cechy charakterystyczne, po których poznać można wszystkie bodziszkowate. W ogrodach uprawiają jeszcze inną roślinę, *Pelargonium*, zwaną tak od wyrazu *Pélagos*, co znowu po grecku znaczy bocian. Znasz ją?

— Któżby nie znał tych pięknych, czerwonych, białych, różowych kwiatów, z silnym muszkatołowym zapachem.

— Oto są trzy rodzaje ptaków, co do których obawiałeś się aby nie straszyły dzieci pociemku, a którym nadano takie nazwy dla upatrzonego podobieństwa. Najwięcej jednak tych nazw używają Francuzi, a że księżna lubi bardzo francuzki język, więc nie dodała objaśnienia po łacinie ani po atlantyjsku. Wiedzieć jeszcze że w rodzinie Bodziszkowatych, jak i u innych wielu dwuliścieniowych, wszystko liczy się na piątki i na dziesiątki.

— Co! czyżby posiadały zdolność do arytmetyki?

— Tak dalece nie, ale mają pięć części w kielichu, pięć płatków w koronie, dziesięć pręcików, pięć słupków, pięć ziarn w jajeczniku.

— Pan kapitan często

chodzi na spacer w tę stronę? — spytałem.

— Cóż chcesz, jestem nie tylko marynarzem ale i botanikiem; zresztą każdy kto jest w służbie Zielonki, musi znać kwiaty i miłować je, a ja jeszcze przytem mam tę słabość, że gdy co wezmę w opiekę, nie rad wypuszczam. Interesuje mnie zawsze ta trawa białowieska, żubrówka, *Hierochloa borealis*, którą z takim trudem przywoziłem w krzaczkach mających już pączki kwiatowe, co zawsze jest najtrudniejsze do przyjęcia. A teraz *Salix* przywoził nieco nasienia tej trawy i zasialiśmy ją w pobliżu moczarów. Niema wątpliwości że się przyjmie i obfity plon wyda.

— *Salix*... ten co woził wieniec na pogrzeb poety?

— Tak. Statek Tulipan na którym popłynął, wczoraj właśnie zawinął z powrotem do portu. Mój Narcyz za miesiąc wyruszy znowu w drogę do Europy: jakże, czy nie będzie miał zaszczytu odwiezienia Jego ekselencji? A może urząd nadzwyczajnego posła zamienionym zostanie na stałą ambasadę!

I zaczął się śmiać. Powrót... choć tęskniłem nieraz za krajem, nigdy jednak jeszcze nie pomyślałem poważnie o chwili powrotu, a jednak trzeba będzie przecie wracać. Nie mogę i nie chcę wyrzekać się rodzinnego kraju; wakacje się kończą, zdrowie moje też znacznie się już poprawiło w łagodnym klimacie wyspy, i niema konieczności pozostawania tu

dłużej, chyba że Redakcja *Wieczorów Rodzinnych* zechce tego. Posłem jej jestem, muszę więc stosować się do jej rozkazów.

— Jeżeli pan poseł zechce wracać, Narcyz będzie sobie uważał za zaszczyt, przewiezienie Jego Wielmożności, a nawet dla uczczenia mocarstwa które ona reprezentuje, każe obok naszej flagi, zawiesić ma maszcie numer *Wieczorów Rodzinnych*! Tymczasem do widzenia.

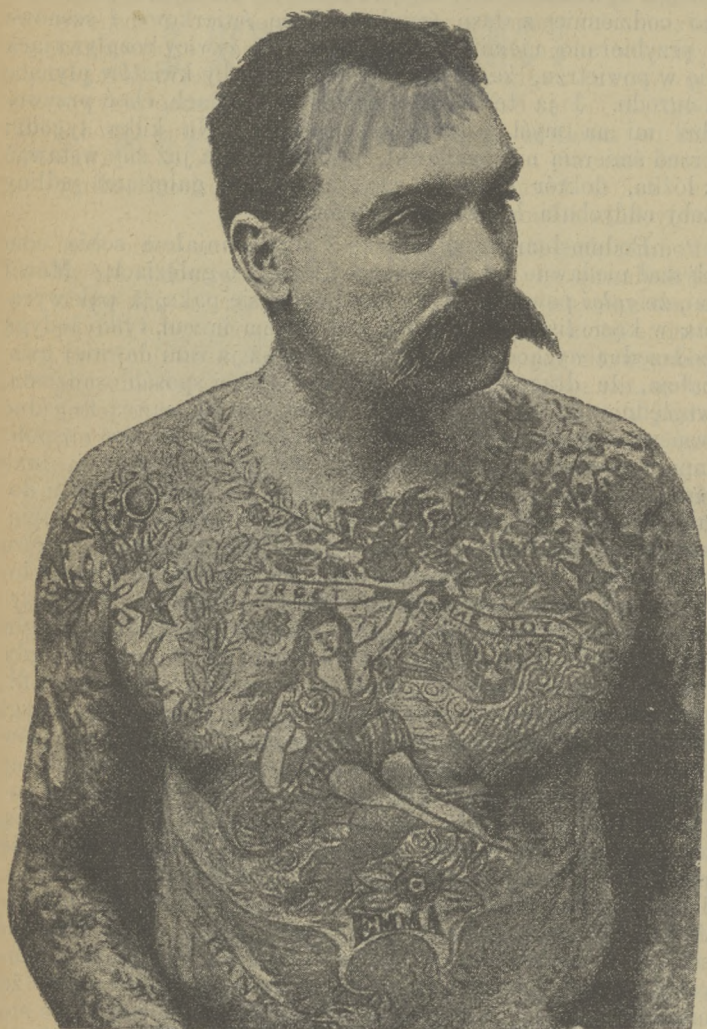
I ścisnąwszy mi dłoń serdecznie, oddalił się. Zostałem sam, i myśli moje zaczęły krążyć koło *Salixa*. Ułożyłem sobie, że go koniecznie odszukam i wypytam o wszystko co widział, ale przypomniałem sobie że jest przecie niemową, i że nic się od niego nie dowiem. Na drodze którą szedłem leżały tu i owdzie ścięte gałęzie jedliny. Księżna lubiła bardzo żywiczne wonie, więc od czasu jej przybycia, przywożono codziennie z lasu świeże gałęzie świerkowe i sosnowe i przybierano niemi dziedziniec, a woń żywicy rozplywająca się w powietrzu, zagłuszała niemal zapachy kwiatów płynące z ogrodu. I ja też bardzo lubiłem ten zapach, choć przywodził mi na myśl bolesne wspomnienia. Na kilka tygodni przed śmiercią mej matczki, gdy nie miała już siły wstawać z łóżka, doktor kazał jej napełniać pokój gałęziami jedliny żeby oddychała leśnym powietrzem.

Podniosłem jedną gałązkę i przypomniałem sobie com słyszał niedawno od królewicza Zielonki o gałęziach. Mówił mi, że *gałąź* powstaje przez rozwinięcie się pąka, a pąk wyrasta w kącie liścia—i że *gałąź* jest niczem innym, tylko łodygą podrzędną wychodzącą z głównej. Już ja sam dawniej uważałem, że długość gałęzi, ich kierunek i sposób osadzenia, względnie do łodygi głównej, są bardzo rozmaite: że jedne wznoszą się do góry, jak naprzykład u cyprysów i topoli; inne spuszczały się ku ziemi, jak u wierzby płaczącej; inne jeszcze tworzą piramidy, najdłuższe gałęzie rozkładając u dołu, jak moje ulubione świerki, które mi się wydają najpiękniejszymi drzewami na świecie — a jeszcze inne najszerze swe gałęzie u góry rozpościerają, jak naprzykład sosny włoskie, co je czyni podobnymi do otwartych parasoli. Nie przypuszczałem jednak nigdy, aby jakakolwiek roślina mogła mieć gałęzie pod ziemią — i zdziwiłem się niezmiernie, gdy królewicz powiedział mi, że to co biorę za korzenie kartofli, jest ich gałęziami podziemnymi. Część podziemna łodygi kartoflowej, opatrzona jest liśćmi nierozwiniętymi, a z kątów tych liści wychodzą gałęzie rozpościerające się mniej więcej poziomo i mające także liście nierozwinięte. Te gałązki z początku bardzo szczupłe, pęcznieją potem czyli nabrzmiwiają na końcach, wypełniając się materią mączastą, i wreszcie przekształcają się na owe bulwy, które nazywamy kartoflami. I koby to pomyślał! doprawdy, botanika jest cudowną nauką. Ale to nie koniec tajemnic dotyczących gałęzi: dowiedziałem się też od królewicza, że one w niektórych roślinach rozszerzają się nad miarę, gdy w innych znów są tak szczupłe, że niekiedy pęd ich wierzchołkowy zamiera, a koniec staje się stwardniałym i śpiczastym, słowem przekształca się w cierń, co można widzieć na *głogu pospolitym* i *rokitniku*.

Ach, jak ja lubię las! jak lubię te kolumny drzew prosto strzelające do góry, te kobierce mchów puszystych jak aksamit i mieniających się wszystkimi odcieniami zieleni, te srebrzyste i ciemne porosty na korze, zaludnione miliardami, niedojrzanych dla gołego oka mieszkańców, gdzie domyślałem się, że wre takie samo życie i takie same walki jak w naszym świecie; te wreszcie złote smugi słońca przedzierające się przez gęstwinę i wywołujące cudowne gry światła. Jak lubię te masy stokrotek wyglądające na mchu niby płatki śniegu, albo te gromady jaskrów, podobne do rozsypanych dukatów. O, jakże pięknym jest świat i jak można być na nim szczęśliwym, gdy się nie jest sierotą jak ja, lub jak ten człowiek do którego szedłem.

Cisza była dokoła, czasem ptak zatrzepotał skrzydłami albo zwinna wiewiórka przesunęła się po drzewie. Tu już zaczynały się moczary: idąc ku nim, napotykałem raz po raz żaby zrywające się z przed nóg moich i uciekające przedemną, jak gdybym czyhał na ich zgubę. Na błyszczącej powierzchni

wody, zarosłej trzcina i tatarakiem, pływały szerokie, wspinające liście *Grąźeli*, których kwiaty podobne były do pełnych tulipanów. Byłem już bardzo zmęczony i żalowałem że nie wziąłem konia. Przystanąłem chwilę nad wodą i przypatrywałem się liściom i kwiatom, których liczne pręciki i płatki na osadniku były przymocowane, a nasienniki miały kształt makówek. Wiedziałem że należą do rodziny Grzybieniovatych, *Nymphaeinae* składającej się z samych wodnych roślin, i że mają wspinających krewnych w krajach zwrotnikowych. Lotus któremu Egipcyanie cześć oddają, do niej należy; do niej *Nelumbium*, kwiat czczony przez Indyan z powodu, że wedle ich starych podań, bożek Brahma zanim utworzył stały ląd na ziemi, unosił się na powierzchni wód, siedząc na



Tatuowanie czyli malowanie skóry.

tym kwiecie. Do niej wreszcie należy królowa roślin wodnych *Victoria Regia*, którą widziałem w czasie uczyty u Zielonki na jeziorze, przy świetle elektrycznego słońca.

Przypomnienie to przywiodło mi także na myśl rozmowę słyszaną wówczas, gdy stałem na liściu tej rośliny, rozmowę której znaczenia ani wówczas, ani dziś zgoła nie pojmowałem i ową roślinę wargową, którą później przezemnie posłał królewiczowej Abrakadabrus. Grzybienie wydawały silną aromatyczną woń, podobną do zapachu cytryny ze słabą domieszką piżma i bursztynu. Patrząc jak kwiaty ich przyczepione do dna, na długich łodygach podobnych do węzów gumowych, wynurzały się z głębi wód, wielbiłem mądrość Bożą, dającą każdemu stworzeniu odpowiednią do jego potrzeb organizację.

Wypocząwszy dostatecznie ruszyłem dalej. Pomiędzy drzewami lasu dostrzegłem wkrótce luki, przez które słońce

obfitemi wdzierało się snopami światła, a po wierzchołkach świerków zobaczyłem czolągający się biały obłoczek. Widywałem takie obłoczki unoszące się ponad strumieniami i wspinające się wysoko na drzewa, ale to bywało bardzo rano lub późno wieczorem. Nie opary to zatem być musiały, tylko dym z chaty. Upewniła mnie o tem mocno wydeptana, i coraz bardziej rozszerzająca się ścieżka. Nagle drzewa rozstąpiły się przedemną, ujrzałem niewielką polankę i stanąłem jak wryty. Ten dworek z gankiem na dwóch słupach wspartym, i obrośnięty chmielem, ten obraz Matki Boskiej malowany na blasze, te same krzewy bzu pod oknami, ten ogródek w grzędach, zasadzony pospolitemi, lecz dobrze mi znanymi roślinami, te okazałe słoneczniki i ławka darniowa pod lipą — wszystko to zrobiło na mnie wrażenie znajomego, gdzieś już widzianego obrazu. W mętnych wspomnieniach z mego dzieciństwa, jest taka polanka wśród puszczy i taki dworek... Przesiągłbym że ten tu oto już widziałem, ten sam — a jednak byłem przecież przy zdrowych zmysłach i wiedziałem że jestem tu poraz pierwszy, jak również pierwszy raz w mojem życiu znajdowałem się na Atlantycie.

Przetarłem oczy jak zbudzony ze snu i z bijącym sercem postąpiłem ku dworcowi. Na ganku siedział on, twarzą zwrócony do mnie; nie mógł mnie jednak widzieć, bo mnie wielki krzew bzu zasłaniał, ale ja za to mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Musiał być chyba słabszym dzisiaj, bo pomimo dnia gorącego miał na sobie kozuch barani. Pożółkła skóra twarzy, przedwczesnem i poorana była zmarszczkami, a oczy gorączkowym świeciły blaskiem. Wsparty na łokciu, rozmawiał z kimś kogo dojrzeć nie mogłem, bo osłaniały go wielkie liście chmielu.

Nie wiedziałem czy mam iść dalej, czy czekać aż rozmowa się skończy i ten drugi odejdzie. Obecność obcego onieśmielała mnie jeszcze więcej. Pragnąłem zastać go samego. Gdy się wahałem czy iść czy nie iść, kilka słów posłyszanych zatrzymało mnie na miejscu.

— Cóż tam widziałeś? mów, jak wygląda ziemia?

To on mówił.

— Żyto się pięknie kłosi, pszenica także wyda plon obfity — odrzekł ten drugi.

— A ludzie?

— Krzątają się pilnie nad dorobkiem przyszłości. Dali pokój narzekaniom na biedę, które im dawniej dużo czasu zabierały, osłabiając siły i energię, i pracują w milczeniu, ale z wiarą w duszy i nadzieją w sercu.

— Czy ja tam będę kiedy, czy ujrzę to o czem mi mówisz!

— Prochy poety trzydzieści pięć lat leżały na obczyźnie, wróciły jednak do rodzinnej ziemi; dla czegoż ty, co żyw jesteś, nie miałbyś powrócić?

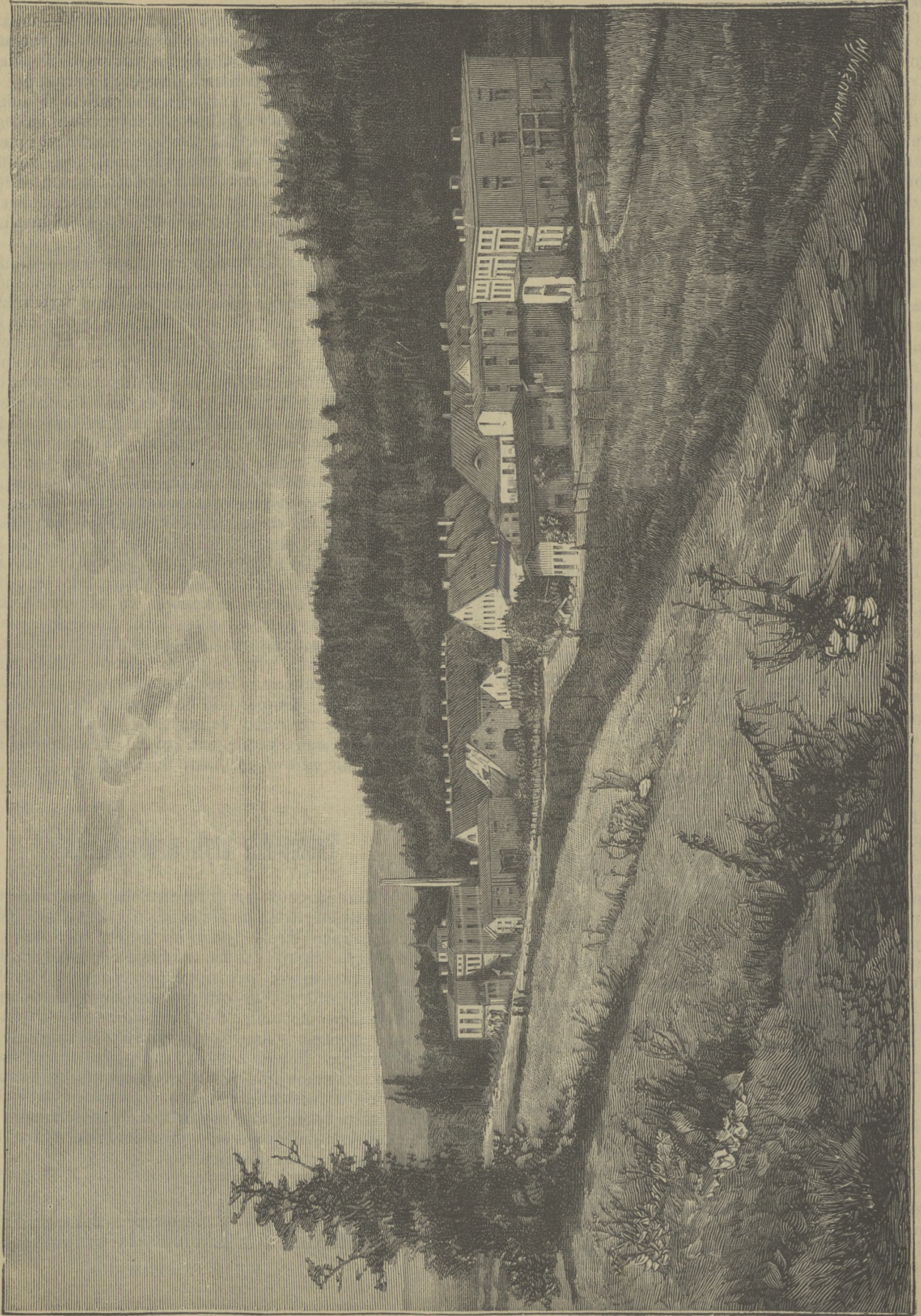
Cudzoziemiec zerwał się z miejsca.

— Wróciły, powiadasz? Nie czytałem gazet oddawna, bom zobojętniał na wszystkie sprawy. Czy widziałeś na własne oczy i mógłbyś mi na to przysiąc?

— Przysięgnę — odpowiedział tamten — bo byłem w liczbie tych co nieśli hołd jego pamięci. Posłał mnie Zielonko.

— Jakże to było? mów — szepnął drżącym głosem i usiadł napowrót, ale cały naprzód ku mówiącemu się pochylał, a twarz jego wychudła przybrała wyraz oczekiwania i chciwości; zdawało się że każdy wyraz który padnie z ust tamtego, będzie liczył jak złoto i chował pod klucz do skarbnicy serca.

— Kondukt z dworca kolei ruszył przez ulice przystrojone świątecznie, i zapełnione tłumami, między którymi biegł szepot radosny, pomieszany z płaczem: „wraca do nas, wraca!” Naprzód szli wysłańcy różnych stron kraju, i różnych stron świata i nieśli setki wieńców od różnych ciał uczynnych, od możnych i ubogich, od mędrców i prostaczków. Były niektóre ze złota i srebra, były inne ze ślicznych i cennych kwiatów żywych, ale najcenniejszy ze wszystkich był wieniec uwity ze zbóż i kwiatów łąkowych, pochodzący z pól wśród których poeta się urodził. Nie było na nim ani srebra ani złota, a przecież mało kto mógł patrzeć na niego bez łez. Karawan



CUDOWA czyli CHUDOBA. Miejsce kąpielowe na Szląsku, rysował F. Brzozowski.

przybrany w purpurę wyglądał jak wóz tryumfalny; na tym wozie pod baldachimem spoczywała trumna z drzewa, a w niej podobno tylko kości, bo ciało po tylu latach już w proch się rozsypało.

Chory załkał głośno.

— Dosyć—szepnął ochrypłym głosem—dosyć, nie mów mi już nic więcej... Wierzę żeś to widział. Przyjdź kiedyindziej. Do widzenia.

Zakrył twarz rękami i siedział tak nieruchomy, a tamten drugi wstał, popatrzył na niego, pokiwał głową i z wolna się oddalił. Nie widziałem jego twarzy tylko plecy, bo odszedł w stronę przeciwną tej w której ja się znajdowałem, ale miał na sobie ubiór majtka okrętowego i do złudzenia wszystkimi ruchami przypominał niemowę. Byłżeby to on? Czy podobna, aby człowiek który utracił głos z przestrachu, przemówił znówu po tylu latach! O Boże, co się tu dzieje! Nie, to niepodobna, to chyba tylko było złudzenie mego wzroku, albo ktoś bardzo podobny do tamtego niemowy. Takie podobieństwa zdarzają się przecież.

Teraz już mogłem swobodnie zbliżyć się do chorego, ale byłem tak wzruszony, że nogi odmawiały mi posłuszeństwa, a przytem, czułem że w tej chwili należało go zostawić w spokoju. On zaś siedział czas jakiś nieruchomy, nareszcie wstał, wyszedł do ogródka i chodził po nim zatopiony w myślach, z gołą głową, a łzy mu ciekły po twarzy. Nareszcie przystanął przed gankiem i szepnął:

— Dzieją się rzeczy nadzwyczajne, umarli wstają z grobu i wloką swoje kości do miejsc z których wyszły, i czyż ja tylko, ja jeden mam tutaj skonać wyklęty i w proch się rozsytać zdala od swoich?

Podniósł wzrok na niebo jakby tam szukał odpowiedzi na swoje pytanie.

— Ale Ty o Boże jesteś miłosierny i ulitujesz się nademną. Wątpiłem długo o miłosierdziu Twojem ale wiara moja odżyła na nowo. Ufam że przebaczysz grzesznikowi i zesłesz mi promień Twój łaski...

Zamilkł i opuszczając wzrok coraz niżej, zatrzymał go na obrazie Matki Boskiej i osunął się przed nim na kolana, a drżące usta szeptać zaczęły:

„Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną,  
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
Szeroko nad...”

Nie mogłem już słuchać dłużej, serce wezbrało mi po brzegi, załkałem.

— Kto tam! — zawołał zrywając się cudzoziemiec, a brwi jego zmarszczyły się gniewnie.

Wyszedłem z pomiędzy krzewów w których dotąd stałem ukryty, i pamiętny na przestrogę królewiczowej Jagódki, odezwałem się tłumiąc z wysileniem płacz.

— To ja, paż królewicza Zielonki, przepraszam pana. Jestem tu przysłany od księżnej Primuli.

Powtórzyłem mu wiernie powierzone mi zlecenie. Chory słuchał, bystro się we mnie wpatrując.

— Dla czego tu ciebie przysłano, a nie Violę który zawsze do mnie przychodzi? — zapytał nieufnie.

— Prosiłem Jęj królewiczowskiej Mości aby mi go pozwoliła zastąpić.

— I czemuż to? — rzekł prawie ostro.

— Zdawało mi się — odrzekłem onieśmielony tym tonem — że może przyjemnie panu będzie porozmawiać ze mną o tem co nas wspólnie obchodzi. Słyszałem że pan jest chory i bardzo nieszczęśliwy i chciałbym zrobić coś takiego, coby panu było miłym. Jestem mały, ubogi, sierota i niewiele mogę, ale czuję że pokochałbym pana, gdyby pan na to pozwolił. Myślałem o panu nieraz i dawno już pragnąłem przyjść tutaj. Przychodziłbym często, jeżeli mi pan nie zabroni.

— Moje dziecko—powiedział—takie bóle jak moje, nie łatwo się leczą, nawet współczuciem... Czy to ty chłopcze na turnieju u królewicza Pióropuszka potykałeś się z Ursusem?

— Ja panie.

— Ty? chodź, niech cię uściskam!

Przycisnął mnie do piersi serdecznie, a potem zaraz jak-

by się wstydząc swojej słabości, odsunął zlekka [od siebie, mówiąc:

— Jesteś dobrym, dzielnym chłopcem. Gdybyś był moim synem, byłbym dumnym z ciebie.

Westchnął.

— I ja miałem kiedyś syna — dodał — umarł mając cztery lata. Gdyby żył, byłby właśnie w twoim wieku. Odejdź teraz, ale przychodź czasem pogawędzić ze starym dziwakiem.

Pożegnałem go nawskroś przejęty i wzruszony. Dawno już, bo od śmierci méj mateczki, nie czułem się tak szczęśliwym, jak w chwili gdy moja głowa spoczywała na jego piersi. Ach, jak ja go będę kochał, jak będę mu służył i pielegnował go! tyle mu dam dowodów przywiązania, taką go troskliwością otoczę, że musi mnie także pokochać, a wtedy może nie będzie mu tak smutno jak teraz! Rozmawiałem dzisiaj z Tamarixem o wyjeździe, ale teraz byłem daleki od myśli odjazdu, bo gdybym odjechał, musiałbym go opuścić.

Wróciwszy do Różanego gaju, zastałem w swoim pokoju paczkę przywiezioną z kraju przez Salixa, a w niej list od Szanownej Redakcyi, z dołączonemi listami czytelników Wieczorów Rodzinnych. Wszyscy się pytają czy korespondencya z Atlanty jest prawdziwą, czy też to jaki autor powieść taką sobie wymyślił. Nie dziwię się że moja korespondencya wydaje im się nieprawdziwą, bo prawda rzeczywista bywa najczęściej więcej zadziwiająca od najfantastyczniejszej bajki. Dziękuję też Szanownej Redakcyi za przysłanie mi zaległych numerów Wieczorów, których tak już dawno nie widziałem; będę je czytał z wielką przyjemnością, bo się już do nich stęskniłem. Przejrzałem je naprędce i zdziwiłem się, że choć tak często piszę, dopiero początkowe moje listy są wydrukowane. Dołączone do paczki listy od stryja, stryjenki i braci, serdecznie mnie ucieszyły. Tadzio przypomina że mnie prosił o przysłanie po niego okrętu do Dębowej Woli, skoro tylko zostaną księciem lub królem. Marzeniem jego jest ciągle dostanie się na Atlantę, dokonanie tu jakiego wielkiego czynu i ożenienie się z księżniczką Gori. Adaś skromniejsze mający wymagania, powtarza że poprzestanie na tytule hrabiego i damie honorowej, byle nie bardzo starój. Warunek ten jest dwa razy podkreślony. Poczciwe chłopcy! jakżebym chciał mieć ich tutaj. Dopiero to bawilibyśmy się wesoło! Zapytam Violi czy nie sądzi że możnaby prosić o to królewicza. Ale prawda, wakacje się już kończą, a oni muszą się uczyć, bo są zupełnie zdrowi, nie takie niedołągi jak ja!

*Janek sierota.*

## Tatuowanie czyli malowanie skóry.

Wśród narodów ucywilizowanych, jako środek wyróżnienia jednych od drugich, służy odzież, dzikie zaś ludy zamieszkujące gorące strefy, poczęści się bez niej obchodząc, aby się upiększyć malują skórę za pomocą wyklówania na niej rozmaitych rysunków, jak to widzimy na rycinie naszej przedstawiającej tatuowanego człowieka, a następnie napszczają te nakłówania farbami. Operację tę bardzo nawet niekiedy bolesną, znoszą z godną lepszej sprawy wytrzymałością, tak mężczyźni jak kobiety, które sądzą że się w ten sposób upiększą. Tatuowanie jest w zwyczaju zarówno w Ameryce Afryce jak w Australii, u niektórych ludów służy ono jedynie wojownikom, którzy zapisują w ten sposób na sobie swe wojenne czyny. Zastępuje ono więc poniekąd nasze mundury, orderzy i inne oznaki dostojenstwa.

## Wyjątki z Książeczki Władzia.

podała **Z. Morawska.**

(Dalszy ciąg).

I cóż się okazało? Oto kiedyśmy poszli bez jęj pozwolenia, ona tymczasem czuwała przy chorj matce owego mal-

któregom tak ładnie poczęstował. Te szeptki z Ludwisem wszystko to było z mojej winy. Garbusek ten jest z rodziny ubogiej i podobno zły z gruntu, ojciec rzucał się i wygadywał, matka wymyślała na czem świat stoi, że zwlecze się z łóżka i pójdzie oskarżyć tego rozbójnika, co jej syna chciał utopić. Chcieli iść do dyrektora, pisać do ojca, słowem zrobić awanturę. Matka Ludwisia dopiero swoją łagodnością, gniew ich i zaciętość uciszyła, wyrobiła miejsce u jakiegoś rzemieślnika dla chłopca, bo podobno ze szkoły go wypędzono, czuwała nad jego matką, która właśnie wczoraj przy niej skończyła. Dziś zajmuje się jej pogrzebem i myśli jakimby sposobem młodsze rodzeństwo w jakiej ochronie umieścić, bo ojciec pije i dzieciom dać opieki nie może. Tak więc, kiedy ja wygadywałem, Bóg wiejnie co i zrymałem się na nią, ona nietylko błąd mój naprawiała, ale jeszcze biednych a słabych ludzi na dobrą naprawdzała drogę.

Oddałem jej też wszystkie pieniądze jakie miałem; nie mam już i grosza przy duszy aż do 1 marca. Na 1-go oddam znów połowę pensji przeznaczonej mi przez ojca, to jest dziesięć złotych, dam także znoszone buty i odzienie. Ale i cóż, gdy co złego zrobię, to tylko datkiem chcę błąd naprawić, nie uniem inaczej, nie słucham takiej świętej osoby, jaką jest matka Ludwisia i dlatego jestem najnikczemniejszym z ludzi.

Dnia 17 Lutego 1871 r.

Ach, lżej mi jakoś na sercu, przyznałem się matce Ludwisia, żeśmy byli w teatrze i że to ja jej syna namówiłem. Nic o tem nie wiedziała. Powiada tylko, iż widziała, żeśmy obadwaj z Ludwisem jacyś byli nie swoi.

Prawda, żeśmy obaj byli jak winowajcy, pytała się nawet, czyśmy nie chorzy, spoglądała w oczy synowi, jakby pragnęła, żeby jej swoje zmartwienie powierzył.

Napróżno upewnialiśmy ją że nam nic nie jest, śmiechem i żartami chcieliśmy pokryć wewnętrzny niepokój.

Nareszcie Ludwiś przyszedł do matki, objął ją w pół i rzekł:

— Mateczka się na mnie nie gniewa?

— Ależ nie, o cóż miałabym się gniewać? — rzekła, uśmiechając się.

— Bo, to widzi mateczka, ja...

— To nie ty, tylko ja — rzekłem, odsuwając go i całując matkę z nieśmiałością w rękę.

— No, ale co? — spytała na w pół ze śmiechem.

— Byliśmy w teatrze! — zawołałem, chcąc raz już skończyć.

— Więc Ludwiś mnie nie posłuchał? — zapytała, patrząc nań badawczo.

— To nie on, to ja wszystkiemu winien!

— Jam tylko winien; nie powinienem był chodzić! — rzekł Ludwiś ze szczerym żalem.

Popatrzyła znów na niego nic nie mówiąc.

— Matko kochana, pierwszy i ostatni raz! — zawołał Ludwiś, całując jej kolana. — Wyrzucam sobie, że miałem tak mało woli.

— A jednak silną wolę we wszystkim mieć trzeba — rzekła. — Inaczej do niczego nie dojdiesz i nigdy nie będziesz dzielnym mężczyzną.

— Ach pani i ja będę miał silną wolę, aby nikogo na nic złego nie namawiać.

Przyrzekliśmy obaj poprawę, przebaczyła nam ta dobra pani. Ludwiś pewnie dotrzyma, bo powiada, że te smutne oczy matki za każdym nieposłuszeństwem pieką go do głębi serca.

On myśli, że i mnie nie stoją ciągle na myśli. Ale czy ja dotrzymam? Ach, chyba dotrzymam! Tak, dotrzymam słowa.

Dziś mi lżej, żem się przyznał, ach, ale żeby aby matka Ludwisia do mnie żalu nie miała!

Dnia 24 Lutego 1871 r.

Żeby człowiek nie wiem jak chciał być dobrym, to zawsze musi się coś stać takiego, że wszystka złość się w nim poruszy.

Zaproszeni jesteśmy na wieczorek tam gdzie bierzemy lekcje tańca, chciałem więc wystąpić we fraku, jak na dorosłego młodzieńca przystało. Otóż gdy ojciec przyjechał, wystąpiłem do niego z prośbą, żeby mi go kupił. Ojciec może byłby i przystał na to, ale na moje nieszczęście przywiózł Józię, bo jej tam jakieś fatalaszki ma kupować. Ta, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęła śmiać się i skakać, wołając:

— Władzio we fraku! a to dopiero! to dopiero! on myśli że dorosły!

— Cicho bądź, co ci do tego! — zawołałem.

— Ale bo mój kochany, jeszcze nie słyszałam, żeby taki oto uczeń z czwartej klasy chodził we fraku.

— Tyś wiele rzeczy nie słyszała! co tam takiemu ośmioletniemu dziecku w to się wtrącać.

— Przepraszam cię bardzo, ale mam już rok dziewiąty.

— Ósmny czy dziewiąty, zawsześ nieznośna! pilnuj swoich lalek...

— Moje lalki są zawsze w porządku, a ty jesteś zawsze dla mnie niegrzeczny!

Od słowa do słowa pokłóciliśmy się na dobre.

— No, no, cicho! jest was tylko dwoje, a zamiast kochać się, to ile razy się zjeździecie, zawsze się kłóćcie — rzekł ojciec, słuchając naszych swarów niechętnie.

— Ale bo proszę ojca, co jej się w to wdawać?

Na to weszła pani Mrukowiecka, bo to właśnie było w jej salonik. Ojciec też nie miał nic lepszego do roboty tylko zaraz opowiedzieć o co się kłócimy.

Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, nie jednak nie rzekła.

Ja nie wszczyznałem już przy niej, nie o fraku, ale na drugi dzień, gdyśmy przechodzili około sklepu z ubraniami męzkimi rzekłem:

— Widzi ojciec, same fraki!

— At, niech sobie będą! — odrzekł obojętnie. Poszliśmy dalej i nareszcie znalazłszy właściwą chwilę znów zacząłem o fraku.

— Na co ci to, jesteś jeszcze za młody!

Jestem pewny, Józii gadanie wszystkiego narobiło. Pewnie ojciec potem rozmawiał z panią Mrukowiecką, a może nawet dostrzegł jej uśmiech i zdawało mu się, że to ubiór dla mnie niestosowny. Doprawdy, ci wszyscy starsi, to im się zdaje, że to oni tylko mają do wszystkiego prawo, a nas zawsze uważają za dzieci!

Dnia 25 Lutego 1871 r.

Będę miał frak nareszcie!

Ale co musiałem z ojcem użyć! Nie chciał i nie chciał. W końcu uległ. Poszliśmy do krawca. Ten ciągni-nitka mnie zirytował.

— Prosimy o frak! — rzekł ojciec.

— Dla pana dobrodzieja? — zapytał słodko.

— Nie, dla tego młodzieńca — rzekł ojciec.

— Nie wiem czy będę miał stosowny — rzekł przypatrując mi się od stóp do głów, jakby dzikie zwierzę oglądał.

Przymierzał jednak jeden po drugim, żaden na mnie nie pasował.

— Możeby pan wziął tużurek? Mam śliczny, to nawet stosowniejsze.

— Zyczę sobie fraka! — odpowiedziałem wyniośle.

— W takim razie gotowym nie mogę służyć.

— To można zrobić! — podchwyciłem.

— Bo wziąłbyś tużurek! — perswadował ojciec.

Przeprowadziłem jednak swoje, mimo, że krawiec ciągle na tużurek namawiał. Oho, ja mam wolę, i co chcę to zrobię! Wzięto miarę, a chociaż nudziło mnie to, i chciałem już coś palnąć tenu szwachowi, że marudzi, powstrzymałem się jednak. Obiecał zrobić na 1-go marca, właśnie na sobotę, na ów wieczorek!

Dnia 27 Lutego.

Co to komu do tego, co ja noszę! jestem pewny, że pani Mrukowiecka dla tego uważa frak za niestosowny, że Ludwiś go mieć nie będzie. Zawsze to tylko zazdrość i nic

więcej. Chciałem mu przecież dać lakierki, nie chciał, ale mu matka kupiła te właśnie odemnie, a teraz fraka mi zazdrości. Gdyby miała na to z pewnością Ludwisiowi by sprawiła, a tak chociaż nic nie mówi, widzę, że frak uważa dla mnie zbyt cennym. A to zupełnie stosowne dla mnie ubranie, przyzwoicieli człowiek będzie wyglądał, niż w tym szkolnym mundurze. Mam przecie wasy — nie duże, ale sądzę że każdy już je widzi!

2 Marca 1871 r.

Szalenie jestem zmęczony! ale nie bawiłem się tak na wieczorze, jakem się spodziewał. Chociaż gdy wszedłem, byłem bardzo zadowolony, wszystkie panienki zaczęły szeptać pomiędzy sobą, słyszałem jak mówiły:

— Oho! patrz, patrz, we fraku!!

Najwidoczniej frak zrobił wrażenie udawałem, że nie słyszę, ale robiło mi to przyjemność, że wszyscy na mnie z podziwem spoglądają. Naturalnie koledzy przedrwiwali sobie, bo żaden nie miał fraka, ale mam ich w pięcie, co mi tam! przyznać jednak muszę, że mi jakoś niezręcznie się było obracać w tem nowem ubraniu... To nic, przyzwyczaję się i będzie szyk!

Najbardziej mnie tylko rozgniewała jakaś siostrzenica państwa Z., u których byłem na wieczorze. Mała, czarna, nawet w czarnej sukience, bo podobno niedawno jej matka umarła gdzieś tam zagranicą. Przez grzeczność prosiłem ją do tańca, ale powiedziała, że jest jeszcze w żałobie, za to przypatrzyła mi się od stóp do głów i rzekła:

— I ja mam brata, także mu na imię Władzio.

— Dorosły? — spytałem.

— O, nie, taki jak pan; jest jeszcze w szkołach.

Oburzyło mnie, że mimo fraka nie wzięła mnie za dorosłego, prowadziłem jednak dalej rozmowę, żeby jej czem dociąć.

— A w której klasie brat pani? — spytałem.

— W szóstej; za rok skończy szkoły i pójdzie na uniwersytet, ma już rok szesnasty, starszy blisko o sześć lat odemnie, a jaki dobry, jaki dobry! Bardzo go kocham! jest nas tylko dwoje, rodziców nie mamy... A pan ma jeszcze rodziców? — zapytała nagle.

— Mam tylko ojca — odrzekłem.

— Ach, jakie to wielkie szczęście mieć rodziców! Ojca nie pamiętam, ale mama, ach, mama była taka dobra! Tak nas kochała! pamiętam ją doskonale, dopiero rok temu jak umarła... I spuściła główkę zasmucona.

Że zaś muzyka grać przestała, a byłem zmęczony, siedziałem sam nie wiedząc dla czego, i słuchałem szczebiotania tej dzierlatki, na którą zły byłem nawet potrosze! Wtem nagle mnie zapytała:

— Pan pamięta matkę?

Otrząsnąłem się, bo nie wiedzieć skąd przyszło jej to pytanie wśród zabawy, a ile razy wspomnę matkę, zawsze mnie ogarnia jakaś tęsknota, smutnie więc odpowiedziałem:

— Bardzo mało.

— To pana bardzo żałuję, bo to wielkie nieszczęście nie mieć matki, a nawet jej nie pamiętać!

(d. c. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze, drugie w tureckim kraju nazwa dana  
Wojskowemu dowódcy, lub oznacza pana.  
Trzecie z czwartem, Etyopii książę; ten wspaniałe  
Gmachy wznosząc, chciał zyskać wiekopomną chwałę.  
Ruzem, król sławny męstwem i ofiarą swoją,  
Najpierwszy z dzielnych wodzów pod zuchwałą Troją.*

### ZADANIE KONIKOWE.

tek	wszy	kiój	mu	rznie	so	chwy	o
la	je	u	we	li	wie	za	ła
tek	by	i	zie	trzy	skąd	racz	ży
swój	wsze	wsi	i	ładź	giem	któ	ła
na	ną	do	ple	mię	zdo	pie	płu
bez	mię	sie	cze	wsi	twój	czło	ry
bie	koj	rocz	czci	swe	wtwój	le	czy
i	wie	i	spo	chwa	u	głos	wiek

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Szarady: Ku — ma.

Rebusu: Młode lata ulatują szybko, ale nigdy nie wracają.

## MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadamia, że codziennie od godziny 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic przychodnich, pensyonarek i pół pensyonarek.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TRĘSC:** Odograf (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Tatuowanie, czyli malowanie skóry (z drzew.). — Cudowa, miejsce kąpielowe na Szląsku (drzew.) — Wyjątki z książeczki Władzia p. Z. Morawską. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Srokosz i Gąsiorek A. M. (z drzew.) — Na łączkę, wiersz p. Helenę Bojarską. — Pod liściami drzewem p. Romanę Kamieńską. — Kwiat cioci p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.



# WIECZORY RODZINNE.



Srokosz i Gąsiorek.

## SROKOSZ I GĄSIOREK.

Oj! nie dobry to ptak ten gąsiorek. Bo patrzcie dzieci, jak męczy drobne owady, liszki którymi się żywi. Skoro pochwyci jakiego żuczka nie połyka go odrazu, lecz wbija swoją ofiarę na kolec lub cierń jakiej rośliny i znów wylatuje na polowanie, a gdy już nazbiera sobie dostateczną ilość owadów, wtedy zaczyna ucztować. Z ciernia ściąga żuczka i zjada ze smakiem, potem zabiera się do drugiej ofiary i nie odpocznie dopóki nie pożre wszystkich. Ponad gąsiorkiem na rycinie umieszczono srokosza, ten również tępi owady, lecz połyka je odrazu; patrzy on z niezadowoleniem na gąsiorka jak gdyby mu wymawiał jego okrucieństwo. Z upierzenia ptaki te są do siebie podobne: jednakie na nich szare, białe i czarne piórka, jednakie dzioby w ząb z boku wycięte. Srokosz tylko większy jest i ma więcej od gąsiorka białych piórek na skrzydłach. U nas tak srokosze jak i gąsiorki są pospolitemi po lasach ptakami.

A. M.

## NA ŁĄCZKĘ.

Pójdziemy sobie, pójdziemy żwawo,  
Gdzie tyle kwiatków pomiędzy trawą,  
Na naszą łączkę, łączkę zieloną,  
Są ci tam dzisiaj kosiarze pono.  
Oj błyszczą, błyszczą kosi ze stali,  
Słania się trawka, na ziemię wali  
Wietrzyk woń cudną roznosi w koło,  
A pieśń kosiarzy dźwięczy wesoło.  
Już widać, widać, już niedaleczko  
Zaraz za wodą, zaraz za rzeczką  
Kwieci się łączka jak malowana,  
Tam ci uciecha. Oj! dana, dana!

Helena Bojarska.

## Pod liściastem drzewem.

— Mateczka mi mówiła, że wszystko co żyje, pracować musi, a pracować bezustannie, gdyż Bóg wszy-

stko stworzył do pracy, co zaś nie pracuje, marnieje; tymczasem liście na drzewie nie pracują wcale, a jak ślicznie i zdrowo wyglądają!

— A któż za nich i dla nich pracuje? jak się tobie zdaje, pień czy korzenie?

— Korzenie.

— Mylisz się, Stefcu, bo tu się odbywa praca wspólna: korzenie i pień pracują dla liści, a liście dla reszty drzewa.

— Jakże tak być może mamo? ja tego dobrze nie rozumiem.

— Zaraz ci to wytłumaczę. Liście czerpią pokarm z powietrza, o czém już wiesz z Wieczorów, które czytasz; część tego pokarmu zostawiają sobie, a część drzewu oddają, i to jest pracą ich stałą; a drzewo żywiąc się sokami i solami ziemi za pomocą korzeni czyni to samo t. j. część pożywienia zachowuje sobie, a część liściom użycza, i to stanowi także stałą jego pracę. O, pięknie wyglądałyby drzewa, gdyby im przyszło dźwigać na sobie i karmić swojemi sokami wyłącznie tylu próżniaków, tylu pasożytów, ile mają liści. Zamiast niebotycznych olbrzymów, mielibyśmy chyba karły i tyki, na których liść byłby taką rzadkością, jak włos na łysinie; bo szafarnia z której czerpią drzewa, rosnące w lesie jedno przy drugim, po pewnym upływie czasu całkiem by się wyczerpała,

— A ja myślałem mamusiu, że liście to dzieci drzewa.

— Zgadza się z tobą; możesz nazwać liście dziećmi drzewa, a drzewo i jego korzenie jego rodzicami. Rodzice więc pracują dla dzieci, a dzieci dla rodziców, a ta wspólna praca dla wspólnego dobra zapewnia trwałe powodzenie całego rodzinnego gniazda, czyli sprawia to, że do końca życia dobrze się dzieje rodzicom i dobrze dzieciom. I to jest nieomylną przyczyną olbrzymiego wzrostu drzew i bujności liści. Gdyby jednak rodzice pracowali tylko, a dzieci spuszczać się na ich pracę próżnowały, wiesz Stefcu, co by się stało?

Stefcio podniósł oczy na liściaste drzewo, pomyślał chwilę, a potem rzekł ze smutkiem w głowie.

— Wiem: zmarnieliby rodzice i zmarniałyby dzieci.

*Romania Kemieńska.*

## KWIAT CIOCI.

z prawdziwego zdarzenia

opisała BRONISŁAWA PORAWSKA.

— Oddaj mi tę lalkę — wołała z marszem na czole ośmioletnia Florcia do dziewczynki w tym samym będącej wieku, która stała przy oknie trzymając na ręku lalkę skromnie ubraną:

Dziewczynce tej było imię Joasia, nie miała już rodziców, a mama Florci która była ciocią Joanki, wychowywała sierotkę razem ze swoją córeczką.

— Masz przecie swoje lalki — rzekła Joanka — ja mam tylko tę jedną, a ty aż cztery.

— Już mi je wymawiasz, czyś ty je kupiła? — mówiła Florcia zachmurzając się coraz bardziej.

Joanka nic nie odpowiedziała, bujała swoją lalkę nucąc jej półgłosem jakąś piosenkę.

Trzeba wyznać prawdę, że Florcia bywała często bardzo niegrzeczną dla swjej siostrzyczki, a nawet nie tylko dla siostrzyczki: grymasów jej było dosyć w całym domu.

Pieszczona jedynaczka nadużywała pobłażliwej nieco miłości rodziców, i zdawało jej się nieraz, że wszyscy powinni myśleć tylko o tem aby jej dogodzić, a jak jeszcze na nosku usiadła muszka, to już nic zadowolnić nie było jej w stanie.

I teraz widocznie nie jedna ale kilka muszek usiadło na tym małym zgrabnym nosku, bo Florcia była w złym bardzo humorze. Buzię wykrzywiła jak po wypiciu cytryny, usta wydeła i przez to wyglądały jak spuchnięte, a oczki—takie ładne, niebieskie oczki jak haberkki—miały wyraz tak pochmurny, jakby tam w tej duszyczce młodej nic a nic dobrego nie było.

W chwili, gdy Florcia posunęła się aby odebrać Joance lalkę, drzwi się otworzyły i weszła mama, bardzo smutna i zmartwiona.

— Czy wiesz Florciu — rzekła patrząc ze łzami prawie na córeczkę — że musimy z ojczulkiem jechać do Anglii gdzie najmniej zabawiemy sześć miesięcy.

— To i ja przecież pojedę — rzekła Florcia zapominając o lalce.

— Nie córeczko, ty musisz zostać, jutro zaraz odwiozę was obiedwie do Zacisza do cioci, gdzie pozostaniecie do naszego powrotu — mówiła mama stanowczo choć z wielkim żalem.

Nie pomogły tym razem ani łzy, ani naprzykrzania się, nie pomogła nawet udana choroba, bo i ten sposób Florcia znała jako skuteczny, rodzice odjechali, a ona i Joanka zostały w Zaciszu, gdzie było także kilkoro dzieci.

Przez pierwsze dni wszyscy jakoś Florci ustępowali, uważając na jej smutek po odjeździe rodziców, ale wkrótce uprzykrzyły się każdemu te ciągłe grymasy i wymagania i ciocia postanowiła położyć temu koniec.

Wzięła Florcię do swego pokoju i tak jej powiedziała.

— Moja Florciu, tak dłużej być nie może, nie masz dwóch latek przecie, więc te wszystkie grymasy zupełnie są niewłaściwe dla panienki w twym wieku. Proszę cię zaprzestań ich, moje dzieci gorszą się takim postępowaniem, i patrzą na ciebie jak na jakie dziwo. Powiadam ci stanowczo, że od dzisiejszego dnia nie pozwolę na takie awantury, jakie wyprawiałaś dotąd. Mogłabyś brać przykład z Joanki, której nic zarzucić nie można.

— Z Joanki? z tej szkaradnej Joanki, która mi ciągle dokucza — zawołała z uniesieniem Florcia.

— Widzę tylko, że ty jesteś dla Joanki niedobrą, że ty jej dokuczasz, a nie ona tobie — rzekła ciocia i wyszła z pokoju.

— Nie cierpię jej — mruknęła Florcia — nikogo tu nie lubię, wszyscy szkaradni, niedobrzy. O! moja mateczko kochana, czemuż mię tu zostawiłaś!

I dziewczynka zasłoniwszy oczki rączkami, płakać zaczęła. Po chwili jednak uspokoiła się i zaczęła półgłosem sama mówić do siebie:

— Wszyscy tylko Joankę chwala i ciocia, i wujek, i siostrzyczki tylko z nią się chcą bawić, nawet ten mały bąk Luluś wyciąga do niej rączki, a na mnie mówi: bla. Ale to przecie Joanki sprawka, to ona tak na mnie wszystkich podburza. Poczekaj, zapłacę ci za to!

I nie wiedząc sama co mówi i co robi, wybiegła! z pokoju.

Często się zdarza, że złym myśлом i zamiarom nastrecza się sama sposobność do uczynienia czegoś niedobrego, aby właśnie wypróbować serce dziecka, lub dać mu możność do zwycięstwa nad sobą, które to zwycięstwo jest piękną bardzo cnotą.

Przechodząc przez stołowy pokój, Florcia usłyszała w dzieciennym pokoju wesołe śmiechy, jakaś zabawa szła wyśmienicie.

— Czekajcie — doszedł jój uszu głos Joanki — pójdę poszukam Florci, ona pewnie biedaczka nudzi się gdzie sama lub płacze, bo tęskni za rodzicami.

— E, to grymaśnica — rzekł cienki głosik, po którym Florcia poznała sześćioletnią Emilcię.

— Ona się nigdy zgodnie bawić nie umie — odezwiała się Józia.

— Już i mnie się sprzykrzyły jój grymasy i te miny kwaśne i niezadowolone, nieznośna jest — rzekł Julek, który dotąd był zawsze najgrzeczniejszym dla Florci.

Dziewczynka więc już i słuchać nie chciała, zapragnęła skryć się gdzie, aby jój nikt nie znalazł i wbiegła do sali, bo wiedziała że tam dzieci nie chodzą i teraz niema też nikogo. Była czerwona z oburzenia, a w oczkach lzy jój błyszczały. Naraz spostrzegła, że na krzeselku siedzi... lalka Joanki.

— O, to coś nowego, przecież salon nie dla lalek, Joanka wie o tem dobrze — pomyślała Florcia — ach! żeby to ciocia zobaczyła, byłaby choć raz niezadowolona z Joanki.

Rozejrzała się po sali, czy nie ujrzy jeszcze czego i wzrok jej z zachwytem spoczął na doniczce z prześlicznie rozwiniętym kwiatem, który wujek przywiózł dla cioci z Warszawy, a na rozwinięcie którego oczekiwano niecierpliwie.

Podbiegła do okna i aż weszła krzeselko, aby mu się lepiej przyjrzeć mogła.

Kwiat istotnie był piękny, bladoróżowy, puszysty, ogromny, chwiał się na cienkiej łodydze, znać było że tylko co się wyzwolił z krępujących go powijaków i wyrzucił na ten świat jakby uśmiechniony, radosny.

— Jeden tylko — szepnęła Florcia oglądając kwiat i szukając pąków — jeden, więc ich nie będzie.

Oczki jój błysnęły złośliwie, obejrzała się na lalkę Joanki i szybko, jakby lękając się rozwagi i zastanowienia, urwała kwiat pyszny, przypięła go lalce do boku i z mocno i niespokojnie bijącym sercem wybiegła z sali.

W samych drzwiach prawie spotkała się z Joanką.

— Szukam cię Florciu — rzekła dziewczynka serdecznym głosem — bawimy się wesoło i tylko nam ciebie brakuje.

— Nie będę się bawić, głowa mnie boli — odrzekła Florcia.

— Panienko — rzekła w tej chwili piastunka wychodząc z dzieciennego pokoju — zostawiłam w sali lalkę panienki, Ziunia tak grymasiła, że aż tam musiałam z nią wyjść na chwilę, ale pani by się gniewała, niech Joanka zabierze tę lalkę.

Joanka pogroziła paluszkami figlarnie piastunce i wbiegła do sali, aby szybko zabrać lalkę, nim ciocia spostrzeże nieporządek.

Schwyciwszy lalkę z przerażeniem spostrzegła że ów kwiat wyczekiwany i pielęgnowany troskliwie, zerwano i przypięto jój lalce.

— Boże! — rzekła dziewczynka — co za nieszczęście!

I w jednej chwili domyśliła się kto był sprawcą tej niecnój psoty.

Gdy tak stoi na środku sali blada ze wzruszenia wchodzi ciocia i spojrzawszy na zmieszaną dziewczynkę rzekła z uśmiechem:

(d. n.)

### SZARADA.

od Słonecznika polnego dla Mamy.

Lubię różne miasta, lecz mieszkam w Warszawie,  
Na półmisku raków zawsze się pojawię,  
Lubię rzekę Wartę, ale Wisłę wolę,  
Lubię błotne wrzosa, choć ładniejsze pole,  
Przebywam w stawie, lecz nie zna mnie morze,  
Jak się wam zdaje, co to też być może?

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Tygrysa dla Stefana K.

Z następujących sylab: Borz—ci—czów—kar—fi—nia—it—ka—kró—licz—flis—ców—o—oj—piń—ra—ty—li—wie—za—cer ułożyć wyrazy. 1. Miasto w gub. kieleckiej. 2. Miasto w gub. radom. 3. Nazwa stopnia wojskowego. 4. Miasto gub. w Rosyi. 5. Miasto na Szląsku. 6. Miejscowość pod Warszawą. 7. Piękna dolina w gub. kieleck. 8. Miasto w Galicyi.

Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwę dwóch miast w Król. Pol.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Łamigłówni kryształowej: S  
R E N  
K O N G O  
S E N E G A L  
N I G E R  
S A N  
L

### Zadania konikowego:

Rozważaj, gdy masz co rzec ochotę:  
Srebrną jest mowa, milczenie złote.

## Skrzynka do listów.

Gniewać miałabym się o to co piszesz kochana **Podróżniczko!** O nie! Mam tylko dla ciebie wielką i serdeczną litość! Żał mi cię, gdyż wyobrażenie jakie masz o sobie i śmiałość z jaką głosisz zdania, o rzeczach których sądzić nie możesz być zdolną, na wielkie przykrości i upokorzenia narazi cię w dalszym życiu. Dowiesz się wtedy kosztem bolesnego doświadczenia, rzeczy których dziś nie rozumiesz, a między niemi i tego, że żaden prawdziwy uczony nigdy nie powiedział sam o sobie, że sądzi się biegłym w tym lub owym przedmiocie od wszystkich współczesnych, bo zdanie podobne u dorosłego człowieka graniczyłoby z obłądkiem. W podobny sposób orzec można wszystkie zdania twoje jak np. o nauce historii i t. p.

**Trawce z nad Fryby** serdecznie dziękuję, że po „długim milczeniu“ przypomniała mnie sobie nareszcie. Widocznie powietrze wiejskie tak na ciebie działa zbawiennie! Oby i tobie przywróciło potrzebne siły, **Jodełko z nad Noteci**, miła i zawsze mi wierna korespondentko! Chociaż nie ujrzysz mię w Redakcyi, wiedz o tem że szczerą przyjaciółkę masz we mnie. O przyjemnym także usposobieniu mojem zapewniam **Stolarza**, który się nie może zdobyć na odwagę korespondowania ze mną, lub z rówieśnikami, chociaż tylu z przyjemnością powitałoby jego odezwę. O sobie już nie mówię, **Mgła wieczorna** znać powinna moje w tej mierze usposobienie. *Pasyami* lubię odbierać liściki! a grać w krokiet... Nie wypada powiedzieć: „pasyami“, powiem więc tylko, że bardzo, bardzo, *bardzo!*

Nieregularnie dochodzą was obecnie, drogie moje, odpowiedzi waszjej Gołąbki. bo ta w innym osiedliła się gołębniku i ciągle z niego czyni wycieczki. Co chcecie? nawet i takiej marniej ptaszynie zachciewa się wakacyj! Bardzo przyjemnych używa **Niezapominajka z nad Warty** i ślicznie mi je opisuje; nie pierwszą to ja chwilę przyjemną zawdzięczam jej liścikom.

**Kujawianka** i **Cisza wieczorna** na wakacjach, odgadują szarady, rebusy i przesyłają mi rozwiązania bardzo dobre. **Kujawianko**. Nie obawiaj się, nie zapomnę o tobie i na wszystkie pytania chętnie odpowiadać będę. **Cisza wieczorna** obiecuje mi zasilić swoją robotką konkurs. Nie, droga moja, ubrania które nadesłacie, dostaną się innym dzieciom, jeszcze uboższym od tych, o których mówisz. Prawidło dotyczące się liścików jest prawidłem bez wyjątków: dla czegoś miałyby je czynić Redakcyja? Dalszy ciąg powieści „W dziewiczych lasach“ ukaże się niedługo. Szczerze żałuję, **Libello**, żeś mnie nie zastała w Redakcyi, ale ty wiesz... ja jestem ptaszkiem — tajemniczym. Szczerze tylko i *jawnie* kochać umiem moje miłe siostrzyczki.

*Gołąbka.*

Jakże cię kocham **Niezapominajko** za to, żeś mi tak prędko odpisała. Na imię mi Marya; **Wieczory** czytuję od roku, o tobie zaś wiem, żeś dawną ich czytelniczką. Donieś jak wyglądasz? Gdzie mieszkasz? Wszak będziesz do mnie często pisywała; Mieszkam na wsi, droga **Błyskawico**, lecz nie bardzo ją lubię; wiosną ładnie na wsi, lecz za to zimą aż strach! **Kalino** i **Kwiaciarko**, ja także mieszkam w waszej okolicy. Mamy jednakowe imiona, **Kalino**, w jednym jesteście wieku, bądźmy więc przyjaciółkami, czy zgoda? **Liliano**, **Lillo Venedo** i **Violo tricolor**, jakież śliczne macie pseudonimy, nie takie pospolite jak mój. Proszę was, drogie siostrzyczki, piszcie do mnie; ja wam zawsze odpiszę, a tymczasem całuję was **Niezapominajka z Zacisza**.

Kochane Panienci! Jestem nową prenumeratorką **Wieczorów** i chciałabym z wami korespondować. Mieszkam w Syberyi, bardzo daleko od was. Mój tatko jest inżynierem i buduje Ob-Jenisejski kanał. Dawniej mieszkaliśmy w Tajdze. Widziałam **Ostiaków** i **Tunguzów** i poznałam się dość szczegółowo z ich życiem. Tajga jest lasem bardzo obszernym, są tu jodły, sosny i cedry, drzew liściastych mało. Kwiatów i trawy też niema; ziemia pokryta jest mchem białym tak zwanym „Jelenim“. Z jagód są: borówki, porzeczki, i czarne jagody. Wilków niema ale są straszne niedźwiedzie i jeszcze inne zwierzęta, w pośród których malutkie

podobne do wiewiórki z czarnym paskiem na grzbiecie. Zwiemyta te, zowią się tutaj burunduki. Jeżeli którą z czytelniczek zainteresowało opowiadanie o **Ostiakach** i **Tunguzach**, to mogłabym tę ciekawość zaspokoić. Tymczasem proszę, aby która rychło odpisała *Małej Tunguzce*.

Dziękuję ci za twój liścik kochany **Kmicicu**, sprawiłeś mi nim wielką przyjemność, gdyż był to pierwszy który otrzymałem przez **W. R.** Czy chodzisz do gimnazjum, do której klasy i w jakim mieście? Ułożyłem dla ciebie kryształową lamigłówkę i w zamian proszę o odpowiedź. Twój *Słonecznik polny*.

Zgadnij kto jestem kochana **Świtezianko** z nad **Męciny**? Wiedziałam cię daleko od twego rodzinnego miejsca, podobałaś mi się bardzo, a nawet pokochałam cię odrazu. Ścisła cię **Żegotka**.

Kochana **Wiewióreczko Inflancka** i **Prawdo!** Chciałabym wiedzieć wasze imiona. Czy **Prawda** nie jest **Jania Z.** z **Inflant**? Ja także w **Inflantach** mieszkam, mam braci i nazywam się **Marja**. Ścisłam was **Ruta z nad Dźwiny**.

Kochanej **Szaręj Wisielce** bardzo dziękuję. Domyślałam się kto jesteście, ścisłam cię serdecznie. *Pończoszka*.

Drogi mój **Złoty Motylku** nadnotecki! Podobał mi się twój pseudonym. Na imię mi **Maryś**, mam lat 14, znam cię doskonale i ścisłam oczekując odpowiedzi. *Nieznamy*.

Kochane moje, **Stokrotko z nad Stochodu**, **Fioleczku**, **Lilijko z nad Bzury** i **Burko sławucka!** Śliczne są wasze pseudonimy; ile lat macie i gdzie mieszkacie? Ja obecnie u mój najstarszej siostrzyczki na **Wołyniu**. Prędko odpiszcie **Dziewannie**.

Nie chcesz widać korespondować kochana **Kulko Śniegowa** z **Pasową Różą** bo o niej zapomniałaś. Dłużej nie czekam, bo jestem niecierpliwa, a może też roztopiłaś się? Może **Pokrzywka** przędź mi odpisze, witam ją, całuję najserdeczniej, proszę aby mi była przyjazną i odpisała niezadługo. *Pasowa Róża*.

Droga **Świtezianko z nad Męciny!** Dziękuję ci serdecznie za twój miły liścik, wielką mi zrobił przyjemność. Przyjeżdż do nas jak najprędzej bo mnie też bardzo tęskno bez ciebie. Ścisła cię **Prymalka**.

Kochane **Wróżbiarko** szczęścia, **Wiochno z pod Lublina**, **Gołąbko z nad Wisły**, **Wiedenko z Żywopłotu** i **Złota przędzo!** Jak się nazywasz, **Wróżbiarko**, czy masz rodzeństwo? **Wiochno**, ile masz lat? Czy uczysz się w domu? Ja mam lat 11. **Gołąbko z nad Wisły!** zgadnij kim jestem? Co ci się najlepiej w **Wieczorach** podoba, bo mnie „**Królowa Szwedzka**“ i „**Zwalczone uprzedzenie**“? **Wiedenko z Żywopłotu** i **Złota Przędzo!** Donieście mi co o sobie. Czuję też wielką sympatyę do **Brzydotki z nad Tamizy**. Kochane **Różowa Jutrzenko**, **Niezapominajko z nad Warty**, **Wieczornico** i **Niezabudko z nad Chomoru!** **Różowa Jutrzenko!** co ci się najlepiej w **Wieczorach** podoba? **Niezapominajko!** Jak się nazywasz, którą z nauk najlepiej lubisz? bo ja historję powszechną. **Wieczornico!** dziękuję ci za liścik. Zdaje mi się że jesteście **Henią H.** **Niezabudko!** jaka powieść w **Wieczorach** najwięcej cię zajmuje? Gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? ja mieszkam w mieście i uczę się w domu. Proszę was, odpiszcie prędko życzliwej wam *Ciszy wieczorniej*.

**P. S.** **Kujawiance**, **Wesołej Leśmierzance**, **Brzydotce z nad Tamizy** i **Gołąbce z nad Wisły** serdeczne uściśnienia przesyłam.

Kochana **Igiełko Sosnowa!** Chociaż się tak zrezygnie pod swoim pseudonimem ukrywasz, znam cię przecież. Czy pamiętasz minione chwile spędzone wspólnie? Szczęściem pozostało nam kochane nasze piśmko, przez które porozumiewać się możemy. A teraz żegnaj **Igiełko kochana** i odpisuj prędko serdecznej przyjaciółce *Fijolkowi alpejskiemu*

Droga **Lampo Błyskawiczna!** Niezmiernie się ucieszyłam list twój przeczytawszy. Ciocia pisała że wyjeżdżacie do **Iwonicza**; ach! jak to dobrze. Ja tam jadę, więc się zobaczymy. Teraz jestem bardzo zajęta. Miałam już kilka egzaminów i dobrze mi poszły. **Lilijka z nad Bzury** prosi **Srebrną Rosę**, aby jej doniosła wszystko o sobie i czego się uczy? Ja się uczę języków i matematyki.